

Barbara Krawczyk

Między Styrem a Konopielką

Moje wojenne dzieciństwo*

Urodziłam się na Kresach, w Małopolsce Wschodniej, ale świadome dzieciństwo i lata wojny spędziłam na Wołyniu, w Armatniowie. Była to mała miejscowość zamieszkała przez osadników wojskowych, położona na skrzyżowaniu szosy Łuck-Równe i linii kolejowej Kiwerce-Równe, otoczona zewsząd rdzennie ukraińskimi wsiami.

Mieszkaliśmy w szkole, gdzie moja mama pracowała jako nauczycielka, a jednocześnie kierowniczka tej placówki. Ojciec mój był zawodowym oficerem, przeniesionym w stan spoczynku w 1936 roku ze względu na zły stan zdrowia. Szkoła była nieduża, 4-klasowa. Mieściła się w pewnym oddaleniu od wsi, a właściwie osady liczącej 10-11 domów. Tuż za nią płynęła mała rzeczka Konopielka i rozciągały się zajmujące ponad 100 tysięcy hektarów, ogromne lasy Jezierskich i Radziwiłłów, sięgające podobno aż po Briańsk. To położenie: las i Ukraińcy odcisnęło na moich wojennych przeżyciach szczególnie bolesne piętno.

Szkoła była wielonarodowościowa. Uczęszczały do niej dzieci polskich osadników, niemieckich kolonistów i ukraińskich chłopów z pobliskich wsi. O ile z niemieckimi kolonistami mama miała różne zatargi, to do rodziców swoich ukraińskich uczniów odnosiła się życzliwie. Nie polonizowała ich na siłę, szanując obyczajową i religijną odrębność, współczuła biedzie i nie stosowała kar pieniężnych za nie przysyłanie dzieci do szkoły zimą. Słyszałam raz, jak tłumaczyła inspektorowi, który robił jej wymówki za zbyt łagodne podejście: *Gdyby ojciec Hrycia miał 7 zł na grzywnę, to kupiłby dziecku buty i chodziłoby do szkoły, bo wiosną i latem chodzi. To nie jest żaden bojkot polskiej szkoły, tylko brak butów i ciepłej odzieży.* Nic więc dziwnego, że wśród miejscowej ludności cieszyła się sympatią

* Pracę wyróżniono II nagrodą w konkursie *Moje wojenne dzieciństwo* zorganizowanym przez Zarząd Dzielnicowy Warszawa-Śródmieście Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych

i szacunkiem. Uczucia te wytrzymały najcięższą próbę i uratowały nas z krwawej pożogi, jaka ogarnęła Wołyń w 1943 roku.

Niewiele pamiętam z Polski przedwojennej, ale nastrój nadciągającej jak burza wojny utrwalił się w mej pamięci bardzo wyraźnie. Odwołane moje pierwsze wakacje nad morzem, plakaty, komunikaty i przemówienia radiowe, gazety, no i ta atmosfera wielkiego napięcia w domu. Przy stole rodzice mówili wyłącznie o polityce, całkowicie nią pochłonięci. Nie wszystko rozumiałam, ale słuchałam z wielkim zainteresowaniem. Były to tematy o wiele ciekawsze od codziennych uwag typu: „siedź prosto”, „nie jedz palcami”, „trzymaj łokcie przy sobie”. Byłam dzieckiem niespełna ośmioletnim, ale wojny nie bałam się zupełnie. Kolorowa Polska mojego dzieciństwa z pięknymi końmi, ułanami, szablami, chorągiewkami wydawała mi się krajem ogromnym i silnym. Bo wychowywano mnie wielce patriotycznie na Grottgerze, Sienkiewiczu, Mickiewiczu w pełnej apoteozie wszystkiego co nasze. Ojciec-oficer matka-nauczycielka kochali ojczyznę niejako zawodowo. Widziałam wielkie manewry na Kresach, prawdziwe samoloty stojące na ściernisku obok szkoły, ułanów, konie, armaty. Otuchą napawały wiszące w szkole plakaty z Rydzem Śmigłym na tle nieba pełnego samolotów z napisem: „Silni, Zwarc, Gotowi”. 11 listopada maszerowaliśmy z chorągiewkami śpiewając: *Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją*.

Wiedziałem z rozmów rodziców, że Hitler, Stalin, Mołotow i Ribbentrop zagrażają Polsce, ale uważałam, nie wiem czemu, że wszyscy oni to Niemcy. Rysowałam ich w kształcie diabłów z rogami i swastyką, w ramach patriotycznego czynu. I dopiero później, kiedy wkroczyli bolszewicy i przyszli po broń, a przy okazji chcieli zabrać ojcu szablę, a on powiedział „Nie dam - do Stalina napiszę, że zabieracie pamiątkę”, dowiedziałam się zdumiona, że Stalin to Rosja i bolszewicy, a nie Niemcy. To zgodne ich współlistnienie w charakterze diabłów na moim dzieciennym rysunku - proteście było po prostu Paktem Ribbentrop-Mołotow. A szablę, choć wydaje się to nieprawdopodobne, zostawili.

Wojnę wyobrażałam sobie bardzo prosto. Polskie wojsko od razu na granicy da Niemcom takiego łupnia, że raz na zawsze odechce się im napadać na inne kraje. Propagandę wojenną łykałam jak gęś kluski, toteż byłam ufna, czułam się bezpieczna i pewna naszego zwycięstwa.

Pierwsze bomby spadły na Armatniów już 2 września. Byliśmy daleko od linii frontu, mała osada pod lasem, bez wojska i godnych bombardowania obiektów. Mieliśmy, co prawda, to nieszczęsne skrzyżowanie szlaków komunikacyjnych, ale nie ono stanowiło przedmiot ataku.

Wszystkie bomby wybuchwały bowiem tuż koło domów położonych z dala od szosy. A my, zgodnie z przysłowiem „szewc bez butów chodzi”, nie mieliśmy jeszcze własnego schronu, bo tata powołany do TOPL zniknął na całe dni. Budował schrony na terenach bardziej strategicznych niż nasza wieś. Skąd mógł wiedzieć, że niemieccy lotnicy będą chcieli zniszczyć te parę domów? Po paru dniach wszystko się uspokoiło. Skończyły się naloty, przejechały szosą czarne limuzyny z udreńczonymi paniami, dziećmi, pieskami. Wydawało się, że wojna się skończyła.

Pod wieczór 17 września bawiliśmy się z dziećmiakami „w chowanego” w zaroślach obok szosy. Usłyszeliśmy dziwny, nieznaný dotąd hałas, coś jakby grzechotało, tysiące grzechotek. Wybiegliśmy na wysoki nasyp i w dole zobaczyliśmy po raz pierwszy w życiu czołgi. Jak ogromne żółwie z czerwoną gwiazdą pełzły po szosie umajone kwiatami. Może dlatego nie wyglądały aż tak groźnie, bo siedzący w otwartych włazach żołnierze śmiejąc się machali do nas przyjaźnie rękoma. Wydawało mi się, że oni idą pomóc nam bić się z Niemcami, ale bardzo szybko przekonałam się, że jest wręcz przeciwnie, a to, co widzieliśmy na szosie, było kolejnym rozbiorem Polski.

Nastaly nowe porządki. W klasie orła z koroną zastąpił herb radzieckiej Ukrainy, okrągły jak księżyc w pełni. Dwa lata później był bardzo przydatny w zabawie - rzucaliśmy nim, niby dyskiem, na przyszkolnym pastwisku. Zniknął krzyż, pojawiły się natomiast propagandowe plakaty. Pamiętam zwłaszcza jeden z nich. Może ośmioletnie dziecko nie wie, co to дума narodowa, ale ja, wychowana patriotycznie kresowianka, wiedziałam i ten plakat boleśnie moje uczucia ranił. Było na nim potworne ptaszysko, karykatura orła z koroną, trzymające w zakrwawionych szponach wynędzniałego, ukraińskiego chłopca w wyszywanej koszuli. Wyciągał on błagalnie ręce do pyzatego i krasnolicego czerwonoarmisty, bagnetem przebijającego drapieżnego ptaka. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka natychmiast, z prawdziwą rozkoszą podarłam ten plakat na strzępy.

Do szkoły przyszlí nowi nauczyciele, przybyły nowe przedmioty: rosyjski, ukraiński i kaligrafia. Ta ostatnia była dla mnie istną karą za najcięższe grzechy. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego mam pisać tak jak wszyscy, a nie tak jak umiem i chcę. Zaczęły się pogadanki uświadamiające nas, w jakim parszywym kraju wyzyskiwaczy żyliśmy dotychczas, jaki tchórzliwy i nieodpowiedzialny mieliśmy rząd, który doprowadził kraj do klęski, a sam uciekł zagranicę. O ile to pierwsze traktowałam jako wierutne kłamstwo, bo pamiętałam jeszcze, jak piękna

była Polska mojego dzieciństwa, to gorzką prawdą o ucieczce rządu czułam się upokorzona. Widziałam przecież na własne oczy sznury czarnych limuzyn toczące się obok szkoły. Już od pierwszych dni września. Ich widok i bez uświadamiającej „poligramoty” naruszał idylliczny wizerunek przedwojennej Ojczyzny.

Zaczęły się moje kłopoty ze szkołą. W ZSRR ośmioletnie dzieci zaczynały dopiero naukę w szkole, podczas gdy ja, nie mając ukończonych ośmiu lat, byłam, za zgodą kuratorium, uczennicą aż 3 klasy. To było nie do przyjęcia dla nowych władz. Rozpoczęła się walka z przepisami, przepychanki, komisje, egzaminy. W końcu krakowskim targiem cofnięto mnie tylko do drugiej klasy pod pretekstem braku znajomości języka rosyjskiego. Mnie cofnięto o jedną klasę, a zegary przesunięto o całe dwie godziny, wprowadzając czas moskiewski. Słońce, jak przed wojną, wschodziło i zachodziło o dawnej porze, tylko my dzieci musiałyśmy chodzić do szkoły o szóstej rano. Bo dla mnie zawsze była to szósta rano. Nigdy, podobnie jak słońce, nie uznałam tego czasu.

Kiedyś do szkoły przyjechał radziecki inspektor, spojrzał na zegar wiszący w salonie i zapytał: *Czy ten zegar chodzi dobrze?* na co ja odparłam bez namysłu: *Nie - on spieszy się dwie godziny.* Ale była chryja! Mama na konferencji nauczycielskiej publicznie została zganiona za wychowywanie córki w duchu sanacyjnym, co nie przystoi radzieckiej nauczycielce. Niewiele czasu upłynęło, gdy znów naraziłam dobre imię mamy jako „radzieckiej nauczycielki”.

Zbliżała się moja Pierwsza Komunia. Dzieci chodziły do kościoła odległego o 7 km. Ja przygotowywałam się w domu, bo rodzice bali się puścić mnie w taką daleką i męczącą drogę, w niepewny czas, głównym traktem, po którym jeździło wojsko. W końcu, pewnego dnia dali się przebłagać. Mama jechała do młyna i zgodziła się, abym poszła z dziewczętami do kościoła, a ona w drodze powrotnej nas przywiezie. Przysięgałam jej uroczyście, że nie będziemy czepiać się samochodów, ani furmanek i w trójkę wyprawiliśmy się w drogę. Szliśmy sobie powoli ścieżką obok szosy, gdy zatrzymała się koło nas bryczka zaprzężona w piękne kasztanki. Dobrodusznie uśmiechnięty siwy pan zaproponował nam podwiezienie. Mimo, że pamiętałam o obietnicy danej mamie, nie miałam wyjścia i musiałam z tej propozycji skorzystać, bo moje starsze koleżanki bez zastanowienia już wsiadały do bryczki. Zimno mi się zrobiło, jak w naszym dobroczyńcy rozpoznałam zwierzchnika mamy, czyli „naczelnika” RWNO: Rejonowego Wydziału Ludowej Oświaty. Oczywiście spytał dokąd idziemy, na co one, nie mając pojęcia z kim rozmawiają,

gładko zełgały, że na egzaminy do szkoły. To był straszliwy błąd, bo kto jak kto, ale szef terenowej oświaty doskonale wiedział, że wszystkie szkoły są nieczynne i żadnych egzaminów o tej porze roku nie ma. Wysiadłyśmy przytomnie kawał drogi przed kościołem, ale na nic nasza konspiracja się nie zdała. Zaintrygowany jawnym kłamstwem „naczelnik” zatrzymał bowiem bryczkę, stojąc na koźle wysłedził dokładnie nasze manewry i ruszył w ślad za nami szosą do kościoła. Wszedł tam od strony zakrystii, zdjął czapkę, przedstawił się zdumionemu proboszczowi i zapytał: *Co to za zebranie i co tu robią te dzieci?* Ksiądz zgodnie z prawdą powiedział, że uczymy się religijnych pieśni, co przecież nie jest zakazane. I na tym cała afery zakończyłaby się, gdyby nie fakt, że nie tylko ja jego, ale także on mnie rozpoznał. Przejeżdżając koło młyna zobaczył mamę, przywołał ją do siebie i do kompletnie zaskoczonej powiedział:

Helena Andriejewna znajecie ja waszu docz siewodnia w synagogu podwizł. Bo dla niego „kościół”, „cerkiew” czy „synagoga” to było - „wsio rawno”. No cóż - ciągnął dalej - nic takiego nie robili, śpiewali, a pop im na harmoszcze grał, ale „radziecka nauczycielka” nie powinna... i znów popłynęła pogadanka o tym, co przystoi, a co nie radzieckiej nauczycielce. Te powtarzające się co jakiś czas umoralniające pogadanki były na szczęście jedynymi służbowymi konsekwencjami posiadania źle politycznie wychowanej córki. Innych sankcji nie było. Do końca panowania tak zwanej „władzy radzieckiej” mama była nauczycielką i kierowniczką naszej szkoły. Ojciec, chociaż wielu wiedziało, że jest byłym wojskowym, też znalazł zatrudnienie w szkolnictwie. Uczył rosyjskiego, który znał jeszcze z czasów zaboru i matematyki w sąsiedniej, ukraińskiej wsi. Musiał się gdzieś zatrudnić, bo emerytury nie dostawał, a ponadto według „nowych porządków”, każdy niepracujący był „elementem pasożytniczym”, zgodnie z bolszewicką maksymą „kto nie pracuje, ten nie je”.

Żyliśmy sobie na uboczu, normalnie. Zapominałam niekiedy, że gdzieś tam daleko ciągle toczy się wojna. Chodziłam do szkoły, odrabiałam lekcje, a w wolnych chwilach uganiałam z dziećmi po całej wsi. Wojna, choć to brzmi paradoksalnie, przyniosła mi wolność. Nie miałam przedtem aż takiej swobody i jak dotąd najczęściej samotnie bawiłam się na szkolnym podwórku, toteż odmianę losu powitałam z radością.

Parę tygodni po wkroczeniu bolszewików wyjechali do Niemiec armatniowscy koloniści. Nikt ich specjalnie nie żegnał, ani po nich nie płakał. Mijając szkołę jeden z nich zawołał do mamy: *Ma pani szczęście kierowniczo, że przyszli Ruscy, bo gdyby to byli nasi, to wisiaby pani na*

drzwiach szkoły. Wracała ta groźba do mnie, jak złowrogie echo, przez całą późniejszą, już niemiecką okupację.

Nadeszła pierwsza, wojenna, wyjątkowo sroga, mroźna zima. Podobno nie było takiej w naszych stronach od 100 lat. Zimieć zasypała domy, a mróz nocą sięgał 30°C. I w taką mroźną noc, 10 lutego 1940 roku obudził mnie przed świtem straszny, spazmatyczny płacz mamy. Wywożono osadników! Jej uczniów. Przez wychuchane w zalodzonej szybie okienko widziałam sunące sanie z pochodniami, konwojowane przez jeźdźców w „budionówkach”. Nazywaliśmy ich „czubarykami”. Widok był zatrważający i przypominał obraz Grottgera „Zsyłka”. Mama w nocnej koszuli, okryta futrem, prawie bosa, płacząc wynosiła wszystko, co w domu było do jedzenia. Ignorując protesty odpędzających ją konwojentów, ładowała co tylko mogła na sanie z wywożonymi sąsiadami. Przemoc i wojna znów dały znać o sobie, burząc złudny spokój miesięcy poprzedzających zsyłkę.

Po wywiezieniu osadników w opustoszałej wsi zostały głodne koty, bezpańskie psy i my w polskiej szkole - samotni w morzu ukraińskich wsi. Był porządek w tej zbrodni, a my nie mieściliśmy się w „rozdzielniku”, bo ojciec, chociaż wojskowy, nie był osadnikiem. Ale wiedzieliśmy, że i na nas przyjdzie kolej, że to tylko kwestia czasu. Zaczęliśmy się przygotowywać do drogi, gromadzić zapasy: suchary, mąkę, tłuszcze, ciepłą odzież.

W parę tygodni po wysiedleniu osadników mieliśmy już nowych sąsiadów, Ukraińców znad Bugu. Zajęli opuszczone gospodarstwa, ale też byli poszkodowani, bo tęsknili za pozostawioną nad Bugiem własną ziemią, na której zbudowano fortyfikacje wojskowe. Całe dni teraz mówiłam po ukraińsku, bawiąc się ze swoimi nowymi przyjaciółmi: Olą, Stiopą, Hryciem i innymi, których imion już nie pamiętam. Polskiego używałam tylko w domu, choć i tu czasami się zapominałam. Pamiętam, jak tatę poprosiłam przy obiedzie: *Daj meni wylki* i widelec od razu wylądował na mojej głowie, przypominając mi kim i gdzie jestem.

Paśliśmy razem krowy, kąpaliśmy się w płytkiej, porośniętej rzęsą sadzawce. Pomagałam im w pracach przy lnie, sianie, wykopkach. Lubiłam piec w ognisku ziemniaki, jabłka, chleb. Jeździłam na oklep na koniach pławiąc je w rzece, ale najbardziej lubiłam wyprawy na ryby nad Konopielkę i do lasu, gdzie zbieraliśmy wszystko, co nadawało się do jedzenia, to znaczy jagody, poziomki, maliny, a jesienią grzyby i żurawiny. Zbieraliśmy też całymi workami dorodne żołędzie jako karmę dla świń.

Podobno od takiej paszy były tłuste i miały bardzo smaczną słoninę - przysmak ukraińskiej kuchni.

Byłam ekspertem w sprawie grzybów. Zbierałam je z tatą od małego dziecka, wiedziałam, gdzie są najlepsze grzybowiska, bo las znałam bardzo dobrze, byłam przecież „tutejsza”. Lubiłam nasze leśne wyprawy i bardzo boleśnie odczułam, kiedy przyszedł czas, że lasy stały się niebezpieczne i już nie można było hasać po nich bezkarnie.

Najpiękniejsze jednak były łąki nad Konopielką pod lasem. Tak ukwieconych, bujnych łąk nigdy już potem nie widziałam, a te nad Radomką, po których dziś ugania moja wnuczka, wydają mi się, mimo swojej niezaprzeczalnej urody, zwykłą, jałową pustynią.

W długie, zimowe wieczory siadywałam z dziećmi na piecu, przeważnie w chacie Stiopy, słuchając niesamowitych opowieści jego mamy o duchach, zjawach, upiorach, wilkołakach. Nie wiem skąd to się wszystko brało? Chyba powstały one na prawosławnych cmentarzach, na których pełno było białych, postrzępionych płacht - resztek po wyszywanych ręcznikach, jakimi przyozdabiano groby.

Na wieczorynkach przy darciu pierza, czy przedzeniu lnu śpiewano pieśni - wszystkie smutne i okrutne. O Marusi, którą z miłości Kozak zabił, aby napić się krwi spod jej serca, o Wasylu, co zadał sobie sam śmierć, bo matka nie pozwalała mu żenić się z ubogą wdową, o Hali, co uwierzyła Kozakom, uciekła z domu, a oni spalili ją żywcem, przywiązawszy do sosny warkoczami... Ukraińskie pieśni z wołyńskich wieczorów tkwią we mnie do dziś. Na zawsze zachowałam sentyment do tej namiętnej, serdecznej, ale i pełnej okrucieństwa kultury.

O świcie 22 czerwca 1941 roku zbudził nas warkot Messerschmidtów i grzechot karabinów maszynowych. Wybuchła wojna niemiecko-radziecka, a my byliśmy tym razem bliskim zapleczem frontu. Rankiem pobiegliśmy z dziećmi do szosy, aby ze zwykłego miejsca w krzakach na nasypie, obserwować kawalkadę naładowanych po brzegi ciężarówek, którymi ewakuowały się radzieckie władze. Czułam złośliwą satysfakcję, patrząc jak uciekają w popłochu ci, co przez lata wypominali nam haniebną ucieczkę naszego rządu w 1939 roku. Uczucia miałam jednak mieszane. Cieszyłam się, to prawda, brałam odwet za szydzenie z polskiego tchórzostwa, ale z drugiej strony bałam się Niemców. Wiedziałam już do czego są zdolni i pamiętałam o groźbie niemieckiego kolonisty. Może rzeczywiście będą chcieli powiesić moją mamę?

Front przybliżał się błyskawicznie. Znów powróciły naloty, a wraz z nimi wymioty, głódówka i bezsenność, bo samolotów ciągle bałam się

okrutnie. Tym razem nie mogli latać tak bezkarnie jak w 1939 roku, bo szlaków komunikacyjnych broniły zenitówki i radzieckie myśliwce. Mówiono o bitwach pancernych, ale generalnie wojska radzieckie cofały się, pozostawiając po sobie opuszczone z braku benzyny lub zaryte w błocie czołgi, skrzynki amunicji, broni itp. Bocznymi drogami coraz częściej przemykały grupki znękanych, brudnych i głodnych żołnierzy z rozbitych oddziałów. Nie czuliśmy do nich już niechęci, pomagaliśmy w miarę możliwości, współczując. Byli ludźmi w potrzebie. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie, więc na czas przetaczania się frontu przenieśliśmy się wszyscy do Botynia, skrajnie nacjonalistycznej ukraińskiej wsi. Mimo to schroniliśmy się tam, bo w 1941 roku nie przychodziło jeszcze nikomu do głowy, że ze strony naszych ukraińskich sąsiadów może nas spotkać coś złego. W dwa lata później wolelibyśmy raczej zginąć od bomb, niż wejść do takiej wsi.

Zupełnie nie pamiętam, jak długo trwała nasza poniewierka poza domem. Dla mnie, w odróżnieniu od wrześniowej wyprawy do lasu, była ona bardziej pełną przygód wycieczką niż utrapieniem. Skończyło się to zaraz po wkroczeniu Niemców. Pełni najgorszych przeczuć wróciliśmy do domu nie wiedząc co przyniesie nam nowa okupacja. We wsi pojawiły się białe płachty obwieszczeń, szczegółowo wyliczające, czego pod groźbą kary śmierci robić nie wolno. Powiało grozą. Zanosiło się na rządy silnej ręki, terror i prawdziwą biedę. Po pewnym czasie okazało się, że zakazy można obejść, a Niemców oszukać albo przekupić. Bo byli przekupni - złoto, biżuteria, a nawet żywność, znakomite wołyńskie wędliny, pędzony po kryjomu „samogon” - wszystko nadawało się na walutę, za którą można było niejedno załatwić.

Dla Ukraińców nastały lepsze czasy, Niemcy ich wyraźnie faworyzowali. Powołali władze ukraińskie, uzbroili policję, tak zwaną Schutz-polizei, której dali dużą swobodę działania. Chodzili oni po wsi czarno umundurowani, z przewagą takich samych charakterów. Mówiono, że mają czarne podniebienia. Brałam to dosłownie i bardzo mnie ciekawiło, jak takie podniebienie wygląda, ale na szczęście miałam już trochę oleju w głowie i nie odważyłam się któregośkolwiek z nich poprosić, żeby mi je pokazał. Zresztą mama w porę zdążyła mi wytłumaczyć, że to po prostu znaczy, że są nienawistni wobec różnych ludzi, zwłaszcza Żydów, a także Polaków, o czym niebawem mieliśmy się przekonać.

W szkole zawieszono „tryzub”. Jakoś nie mogę godła Ukrainy nazywać po polsku „trójząb”, bo ten kojarzy mi się z Neptunem i radosnym Świętem Morza. Inaczej niż „tryzub”, na widok którego odżywają wspomnienia

pożarów, trwożnych nocy, zamęczonych, okaleczonych ludzi - słowem to wszystko, o czym od lat staram się zapomnieć.

No więc, wisiał „tryzub”, a ja uczyłam się trzeciego z kolei hymnu państwowego *Szcze ne wmerła Ukraina...* Śpiewałam *Szcze ne wmerła* dukałam po niemiecku *Unser Fuhrer Adolf Hitler*. Językiem wykładowym był ukraiński, nowym dla nas wszystkich - niemiecki. Cała ta, bynajmniej nie sentymentalna edukacja, spływała jednak po mnie jak woda po gęsi, nie wyrządzając większych spustoszeń w skołatanej od tego łepetynie. Byłam Polką, wiedziałam o tym. Mogłam się uczyć jeszcze 100 obcych hymnów, a i tak nie naruszyłoby to mojej głębokiej wiary, że chociaż Polski nie ma - wróci Niepodległa, tak jak wróciła po zaborach.

Zresztą zabawa w ukraińską szkołę nie trwała długo, bo po pewnym czasie wszystkie instytucje oświatowe zostały zamknięte. Coś zaczęło iskrzyć w niemiecko-ukraińskim „kochajmy się”, złudzenia co do ustanowienia przez Niemców „Samostijnej Ukrainy” też pewnie wyblakły, bo którejś nocy „szucpolicaje”, jak ich nazywano, podpalili w naszej gminie (a także w innych miejscowościach) posterunek i z niemiecką bronią uciekli do lasu. Skutki tych wydarzeń dla nas Polaków okazały się wkrótce tragiczne. Ale to było znacznie później, bo w pierwszych miesiącach okupacji Ukraińcy i Polacy, przynajmniej w naszej okolicy, byli jeszcze nie podzieleni, wspierając się wzajemnie w grze „w chowanego” z okupantem.

Bo chowano, ukrywano wszystko co zakazane - od rzeczy, po zwierzęta i ludzi. Chłopi chronili prosiaki przed kolczykowaniem, aby móc je tuczyć dla siebie, a nie Niemców; oddawano sąsiadom nadprogramowe, to jest, posiadane ponad dozwoloną liczbę krowy w fikcyjnym akcie kupna-sprzedaży. Ukrywano zbiegłych jeńców i własne dorastające dzieci wyznaczane na roboty do Niemiec. Znikały one po prostu w leśnych przysiółkach, gdzie Niemcy nie zaglądali, bojąc się partyzantów.

Mój tata, wbrew zarządzeniom, ani myślał pozbawiać się broni. Po prostu ukrył rewolwer w przemyślnym schowku. Ostentacyjnie natomiast oddaliśmy radio, bo w okolicy wszyscy wiedzieli, że je mamy. Niewielu jednak wiedziało, że stary gruchot jaki pozwoliliśmy zarekwirować, nie był jedynym posiadanym przez nas aparatem. Tuż przed wojną kupiliśmy nowoczesny, wielolampowy odbiornik Philips’a i tego radia, podobnie jak rewolweru, nie oddaliśmy. Służył on rodzicom i ich znajomym do słuchania audycji z Londynu przez cały nasz pobyt w Armatniowie. Przed ucieczką do Łucka radio zostało gdzieś wywiezione z domu, myślę, że do polskiej placówki samoobrony w Przebrażu.

W naszej okolicy nie było ani jednej rodziny żydowskiej. Nie musiałam rozstawać się z przyjaciółmi, patrząc bezradnie jak prowadzą ich na śmierć. Stąd też los Żydów znam głównie - choć nie tylko - z wieści, jakie na ten temat docierały do nas z Łucka. Opowiadano, że najpierw ich oznakowano białymi opaskami z niebieską, wyszywaną gwiazdą Dawida, potem spędzono do najgorszej dzielnicy Łucka i zamknięto w gettcie, aż wreszcie wszystkich wywieziono i zgładzono. W tej zbrodni brali udział ukraińscy policajcy z naszej gminy. Wrócili pod wieczór do wsi podpici, podnieceni, z naręczem zdobycznych ubrań. Rozdawali je swoim dziewczynom i opowiadali o strasznych rzeczach. Wcale nie żałowali zabitych Żydów. Wręcz przeciwnie! Byli dumni, że wkrótce Ukraina będzie wolna od nich. Nie mieliśmy wtedy jeszcze pojęcia, że jesteśmy następni w kolejce do likwidacji, że i nas *dla dobra Samostijnej Ukrainy* też będą mordować, przecinając wieloletnie więzy sąsiedztwa i przyjaźni siekierami, nożami i co tam kto miał pod ręką.

Po likwidacji getta pojawili się w naszej okolicy uciekinierzy. Nie słyszałam, aby ktoś ich ścigał czy wydał Niemcom. Jeden z nich, zanim dostał się do leśnych oddziałów, nocował w szkole przez jakiś czas, choć u nas było bardzo niebezpiecznie. Któregoś dnia, pasąc krowę, spotkałam w krzakach przy torach żydowskiego chłopca mniej więcej w moim wieku. Był zawoszony, głodny i tak wystraszony, że z trudem porozumiewałam się z nim. Dałam mu swoją podwieczorkową kanapkę i popędziłam do domu, aby przynieść więcej jedzenia. Mama przygotowała kurę z obiadu i pół bochenka chleba, ale chłopca po powrocie już nie zastałam. W swoim krótkim życiu zdążył nauczyć się aż takiej podejrzliwości, że nie ufał nikomu.

Choć moja pochodząca głównie z drugiej ręki wiedza o prześladowaniach Żydów była i tak przerażająca, to co zobaczyłam któregoś dnia na własne oczy, przekroczyło granice wyobraźni i pozostawiło trwały uraz.

Była zima. Jak zwykle napadało dużo śniegu. Bawiłam się przy szkole obok drogi - lepiłam bałwana. Całkowicie pochłonięta tym zajęciem nie zauważyłam nawet skąd, nadjechała grupka policjantów ukraińskich i SS-manów z wysokimi czapkami. Nie wiem też, skąd znalazło się przy nich dwoje starszków - siwa kobieta oraz przygarbiony mężczyzna z pejsami i długą brodą. Może przywieźli ich ze sobą aż z Łucka, a może wyciągnęli z jakiejś kryjówki w pobliżu. Zaprzęgli ich do dużego tak zwanego, „bałagulskiego”, drabiniastego wozu zamiast koni i kazali ciągnąć. Oni się nawet starali, ale ruszenie z miejsca ciężkiego wozu, w dodatku zapa-
dnętego po osi w głębokim śniegu, było ponad ich siły. Rozpoczęło się

znęcanie: bicie pejcami i kolbami, wrzaski. Stałam przytulona do ściany domu jak sparaliżowana. Nie mogłam ruszyć się z miejsca, ani oderwać oczu od wstrząsającej sceny. Odetchnęłam, kiedy bicie się skończyło, podnieśli ich ze śniegu i wyprzęgli. Pokazując pobliski las kazali uciekać. Przez ułamek chwili z ulgą pomyślałam, że darują im życie, ale wtedy właśnie zaczęło się najgorsze. Staruszkowie biegli ciężko, zapadając się w śniegu. Uciekali w stronę zbawienego lasu, a Niemcy z policjantami rozpoczęli polowanie jak na zwierzynę. Strzelali z automatów seriami obok, pod nogi. Uciekający Żydzi podskakiwali niezdarnie, często padali, podnosili się, biegli... A oni, ci oprawcy, śmiali się na całe gardło jakby to była najlepsza zabawa. Nie wiem, jak się wszystko skończyło, bo na odgłos strzałów i mój przeraźliwy krzyk wypadli z domu rodzice i tata zaniósł mnie szlochającą do domu. Długo nie mogłam uspokoić się z płaczu, w nocy zrywałam się z krzykiem. Stale śnił mi się koszmar, którego byłam świadkiem.

Ten niemiecki, gardłowy, zadowolony z siebie, syty śmiech pozostał w mej pamięci na zawsze. Pięć lat po wojnie do uczelni, w której studiowałam, przyjechała delegacja Niemców. Byli młodzi - zbyt młodzi, aby odpowiadać za wojnę. Bawiliśmy się razem na wieczornicy, tańczyli, śpiewali. Horst, z którym tańczyłam najwięcej, był miły i inteligentny. Ktoś opowiedział jakąś zabawną historyjkę, wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaśmiał się i mój partner od tańców - Horst. Był to ten sam, dobrze mi znany śmiech. W jednej chwili zobaczyłam, jak na jego głowie wyrasta SS-mańska czapka i zamarłam z przerażenia. Było to tak widoczne, że wszyscy, łącznie z Horstem, umilkli nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje. Podobno zbładłam jak papier i cała dygotałam, wpatrując się z wytrzeszczonymi oczyma w śmiejącego się Horsta. Wstałam i wyszłam z sali bez słowa. Z biegiem lat nauczyłam się bardziej nad sobą panować, ale jeszcze dziś, ile razy słyszę specyficzny, niemiecki śmiech, wypływa z pamięci obraz dwojga starych ludzi, biegnących z nadzieją w stronę lasu.

Mijał pierwszy rok niemieckiej okupacji. Pocieszaliśmy się „słoneczko wyżej - Sikorski bliżej”, ale żyło nam się z dnia na dzień coraz gorzej. Po zamknięciu szkół oboje rodzice stracili pracę, a i pieniędzy nie było. Szkoła miała przydzieloną dwuhektarową działkę, którą mama dotychczas wydzierżawiała sąsiadom za pieniądze. Teraz zaczęliśmy sami na niej gospodarzyć. Mieliśmy własne ziemniaki i żyto, ale o mąkę było trudno. Młyny stały się niedostępne dla cywilnej ludności - pracowały tylko dla frontu. *Stała Ukraina motorna, zaczęły młyny - pustyła żorna* mówili ukraińscy chłopci, którym Niemcy powoli przestawali się podobać. W myśl

tego porzekadła ze starych składzików i chaszczy za chałupami wyciągnięto żarna i mielono na nich żyto na mąkę. Chleb z takiej mąki dawał się zjeść, ale kluski czy pierogi to była zwykła ohyda. Praca przy żarnach też do przyjemności nie należała. Kaszę uzyskiwano w stepie, gdzie grykę tłuczono wielkim, ciężkim tłuczkiem. Byliśmy zacofanym technicznie krajem, więc te przedpotopowe narzędzia prawie każdy miał w domu, bo do niedawna jeszcze były używane. Hodowaliśmy świnię, mieliśmy kurnik, dorobiliśmy się też prawie własnej, bo kupionej „na niby” od sąsiada krowy. On ratował rasowe zwierzę przed rekwizycją, a my mieliśmy własne mleko. Najbardziej z faktu posiadania krowy cieszyłam się ja. Od dawna bolałam, że nie mamy żadnej gospodarki, co różniło mnie od innych dzieci. Nie chciałam być „białą wroną”. Chciałam mieć takie same jak inni obowiązki i własną krowę do pasienia. Posiadanie krowy zmieniło mój status społeczny w domu - z „powsinogi”, jak kąśliwie nazywał mnie tata, stałam się osobą pracującą, a na pastwisku odtąd przebywałam legalnie.

A tam było tak ciekawie. W upalne dni pławiliśmy konie w Konopielce, zbieraliśmy pociski, które starsi chłopcy rozkręcali tak sprytnie, że nikt z nas nie wyleciał w powietrze. My młodszy, kolekcjonowaliśmy wszystkie rodzaje prochu i detonatory, które uderzone kamieniem głośno strzelały, był błysk i huk jednocześnie. Z cienkich, metalowych rurek napchanych prochem robiliśmy prawdziwe fajerwerki. Zapalało się proch w rurce i kręciło nad głową, kawałki prochu z sykiem wylatywały i płonęły różnymi kolorami w zależności od rodzaju prochu. Miałam tego istną kolekcję, po prostu mały składzik materiałów wybuchowych, ukryty w łopianach za piwnicą. Dobrze, że to tata go wykrył nie Niemcy, bo skończyło się tylko na gderaniu.

W domu brakowało już prawie wszystkiego, ale pomysłowość w walce o przetrwanie była niespożyta. Jeśli czegoś brakowało, natychmiast znajdowano namiastkę, czyli „ersatz”. Zabrakło herbaty - parzyliśmy zioła, przeważnie kwiat lipowy, kawę zastępowało zboże palone i mielone razem z dodatkiem żołądździ; cukier, a właściwie jego namiastkę, okropną melasę produkowano z buraków cukrowych. Ocet robiliśmy z obierek jabłkowych; mydło z kości i jakichś innych obrzydliwości. Pojawiły się karbidówki, największy obok samogonu, okupacyjny wynalazek. Świeciły dość jasno, ale straszliwie śmierdziały, no i czasem wybuchały. Nowością był samogon, nasza wojenna, ponadustrojowa i międzynarodowa waluta.

Samogon - prototyp europieniądza, za który można było wszystko kupić - nawet wolność i życie.

Kiepsko też było z ubraniami, zwłaszcza dla mnie. Rosłam jak na drożdżach, a poza tym uganiałam się po różnych wertepach i chaszcach, więc to, co miałam, albo było za małe, albo podarte. No, ale od czego len? Przyłnie umiałam zrobić wszystko - od pielienia i przerywania po przedzenie na kołowrotku. Płótno tkano u sąsiadów, gdzie były krosna. Potem długie płachty moczyło się w wodzie, rozkładało na trawie, aby wyschły i wybielały. Lubiłam niebiesko kwitnące łąny lnu. Myślę, że flaga narodowa Ukrainy to złoto pszenicy, ale nie tyle błękit nieba, jak mówią, a łąny kwitnącego lnu. Całe pola były nimi obsiane. Nie widziałam takich pól w Polsce. Len nas ratował. Z lnu były prześcieradła, ręczniki, kostiumy i sukienki. Można powiedzieć, że beżowo-lnianą warszawską modę lat dwudziestych wyprzedziliśmy o jakieś pięćdziesiąt lat. Nauczyłam się szydełkować i dziergać na drutach. Z włóczki ze starych sprutych swetrów, z owczej wełny, lnianych nici robiłam skarpetki, pończochy, szaliki, czapki, a nawet kiedyś wydzierałam sobie kostiumik z lnu ufarbowanego na granatowo: bluzkę i układaną spódniczkę.

Podporą rodziny stał się tata - „złota rączka”. Zawsze coś tam sobie dłubał po amatorsku. Teraz otworzył warsztat znany w całej okolicy. Naprawiał zegary, robił wiadra, bańki na mleko, kubki blaszane, zapalniczki, a nawet obrączki i zaręczynowe pierścionki z monet. Dzięki temu znów mieliśmy jedzenia pod dostatkiem, bo zapłata była oczywiście w naturze. Wytwórcza działalność taty była dla mnie dodatkową udręką, bo to ja głównie musiałam dostarczać mu surowca. Zbierałam po polach gilzy na zapalniczki, a wzdłuż linii kolejowej puste puszki po konserwach, wyrzucane z pociągu przez jadących na front wschodni żołnierzy. Boże! Cóż to była za obrzydliwość zbierać, a potem czyścić z resztek zeschłego tłuszczu blachy z tych puszek. No, ale przecież z czegoś trzeba było robić i wiadra i bańki na mleko.

Mimo wojny i okupacji rodzice prowadzili dość ożywione życie towarzyskie. Bywaliśmy na licznych przyjęciach w Palczy, w odległym o 6 km, położonym w głębi lasów Johanowie, u państwa Rykowskich. Sami też przyjmowaliśmy często gości. Moja zasadnicza ciocia była bardzo zgorszona tymi biesiadami. Uważała, nie bez racji, że nie czas na zabawy, kiedy jest wojna i naród w niewoli. Ani ona, ani tym bardziej ja nie wiedziałam wtedy, że liczne spotkania były po prostu przykrywką działalności podziemnej ojca i jego przyjaciół, z których jedni byli

podwładnymi a inni jego przełożonymi. Wszyscy oni zaangażowani byli w AK obwód Kiwerce¹. Nieświadoma o co w tym wszystkim chodzi cieszyłam się i z gości, i z odwiedzin u znajomych. Najbardziej lubiłam jeździć do Johanowa do pp. Rykowskich, których syn był moim rówieśnikiem, a jednocześnie najlepszym kolegą. Choć toczyła się wojna pobytu w Johanowie zaliczam do mego przedwojennego, jasnego dzieciństwa, tak różnego od okupacyjnej codzienności.

Gdzieś w pierwszych miesiącach 1943 roku dotarły do nas bardzo niepokojące wieści. Zaczęli ginąć, uprowadzeni nocą z domów, Polacy. Na razie pojedynczo. W ten sposób zaginął w naszej gminie aptekarz, w innej uprowadzono nauczyciela, a jeszcze w innej - księdza.

W marcu było już pewne, że w lasach zbierają się wielkie zgrupowania uzbrojonych Ukraińców-banderowców, bulbowców, melnikowców - różnie ich nazywano. Ludzie mówili, że popi święcą w cerkwiach noże do walki o „Samostijną Ukrainę” i oczyszczenie jej przyszłych terenów z Żydów, komunistów i Polaków. Żydzi byli już prawie doszczętnie wymordowani - zresztą nie bez udziału ukraińskich policjantów - komuniści w większości zabrali się z Armią Czerwoną lub poszli do partyzantów. Pozostaliśmy tylko my - Polacy, resztki zdziesiątkowane wielkimi wywozami na Sybir, Lachy -jak nas nazywano „polskie pany”. Może i my byliśmy panami, bo do mojej mamy ukraiński chłop zawsze mówił „pani”. Nie „pani Heleno”, „pani kierowniczo” jak inni, tylko zwyczajnie „Pani zajdźcie do nas”, „Pani jak tam w szkole mój Waśka”? „Pani” to był tytuł wyznaczający jej pozycję w społeczności wiejskiej. A ja byłam „panienką ze szkoły”, ale tylko na początku, bo później, kiedy całe dnie spędzałam z ukraińskimi dziećmi, upodabniając się po trosze do nich, byłam już Basią a niekiedy nawet „Warią”. Więc może rzeczywiście byliśmy „polskimi panami”, ale czy byli nimi także polscy chłopci, zamieszkujący z dziada pradiada leśne wołyńskie wioski, sąsiadujący z Ukraińcami przez płot i klepiący z nimi taką samą biedę? Żyli latami obok siebie i, jak to we wsi bywa, żyli różnie. Raz byli w zgodzie, kiedy indziej kłócili się, nieraz bili. Jeśli kłócili się, to o miedzę, którą chytry sąsiad zaorał, o krowę w szkodzie, o dzieci w cudzym sadzie, ale nie dlatego, że jeden był Polakiem, a drugi Ukraińcem.

¹ Kto był kim z naszych wołyńskich gości dowiedziałam się dopiero niedawno z prac W. Romanowskiego, *Kainowe dni*, Warszawa 1990; *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa na Wołyniu 1939-45*, Warszawa 1997.

Żyli razem, żenili się między sobą i gościli się wzajemnie na weselach oraz w polskie i ukraińskie święta. Widziałam to i sama chodziłam z dziećmi ukraińskimi koledować z gwiazdą wyklejoną kolorowym papierem na przetaku. Najpierw szliśmy do polskich domów, śpiewając *Wśród nocnej ciszy* a w dwa tygodnie później z tą samą gwiazdą do Ukraińców z kolędą *Tryje cary...*

A teraz z dnia na dzień wszystko się zmieniło i oni właśnie pierwsi mieli stać się ofiarami ukraińsko-polskiej waśni, kładąc głowę pod topór w dosłownym znaczeniu tego słowa. Bo w tej nowej „wojnie”, która z wolna zbliżała się do nas, niewidoczny front przebiegał między ukraińską i polską chatą. Wrogiem mógł być najlepszy sąsiad, wpuszczony nocą do domu.

Na kolonii Aleksandrów, oddalonej o jakieś 2 km od Armatniowa, w domach opuszczonych po niemieckich osadnikach, zamieszkali Polacy. Jeden z nich w swym murowanym, krytym blachą domu, urządził istną warownię. Sam był uzbrojony, a z grubych bali zrobił okiennice i jeszcze mocniej zabezpieczył drzwi. Kiedy przyszli nocą, śpiąca w stodole bratanica usłyszała znajome głosy „Józek, otwórz”. A rano znaleziono Józka z żoną z rozplatanymi siekierą głowami, na progu własnego domu. Gdyby tych drzwi nie otworzył, uratowałby się, tak jak pozostała większość Polaków, która doczekała partyzanckiej odsieczy, przeganiającej banderowców ze wsi. Dwoje dzieci - syn i córka - ocalało, ponieważ nocowały poza domem u zaprzyjaźnionych Ukraińców. Nie wszyscy przecież byli banderowcami.

Strach, gorzkie uczucie przyjacielskiej zdrady, nieufność, chęć pomśzczenia najbliższych to pożywka, na której kiełkowała nienawiść, jakie przedtem nie znałam. Początkowo nie dopuszczałam jej do siebie. Żyłam jak gdyby w schizofrenicznym świecie. W dzień po dawnemu, unikając jednak łąk pod lasem, pasłam krowy z moimi ukraińskimi przyjaciółmi. W nocy ukrywałam się przed ich tatusiami i starszymi braćmi. Bo od kwietnia do ucieczki z Armatniowa w czerwcu 1943 roku ani razu nie spałam we własnym łóżku. Kryjówek było kilka. Pierwszą wymyśliła mama, która co wieczór odprowadzała mnie na nocleg do zaufanego Ukraińca, zamieszkałego we wsi -nomen omen - Zwierów. Mama w ogóle początkowo czuła się pewnie. Wierzyła, że przed napaścią chroni ją immunitet szacunku i sympatii okolicznej ludności. Było w tym dużo racji, ale do czasu. No więc spałam w nisko sklepionej dusznej chacie, na twardym piecu razem z córeczką gospodarza, moją rówieśnicą Nadią czy Nasiką, nie pamiętam już dokładnie. Ciemności izby rozjaśniała tylko

lampka oliwna płonąca skąpym blaskiem, w kącie przed ikoną. W sąsiedniej tak zwanej „białej izbie” zbierali się koledzy starszych braci Nastki - pili ostro samogon, śpiewali ukraińskie pieśni, inne niż te, które dotychczas znałam. Od ich słów ciarki chodziły po grzbiecie. Co pewien czas któryś z nich wchodził do kuchni, gdzie spałam, by z wiadra stojącego tuż przy piecu napić się wody.

Wtedy przestawałam oddychać, wyobrażając sobie, co stałoby się, gdyby zajrzał na piec i zobaczył małą, skuloną ze strachu Laszkę, zagrażającą swoim istnieniem „Samostijnej Ukrainie”. Przed północą wychodzili i gdzieś szli. Byłam pewna, że wyprawiali się do polskich wsi „pohulać z Lachami”, ale może się myliłam, może to była tylko bujna wyobraźnia przestraszonego dziecka. Nie miałam ochoty ukrywać się dłużej w takim miejscu. Przestawałam ufać Ukraińcom, wszystkim bez wyjątku, ale klimat tych kilku nocy spędzonych u skądinąd dobrych ludzi przetrwał w mej pamięci na długo.

Pożar wojny domowej ogarniał z wolna całą Wołyń. W marcu 1943 roku pojawiły się na niebie za lasem pierwsze łuny. Najpierw bladnoróżowe jak jutrzienka, wyblakłe, odległe. Później otaczały nas już pierścieniem ze wszystkich stron, coraz bliżej i bliżej, purpurowe, bardziej intensywne niż zachodzące słońce, kiedy zmienia się pogoda i nadciąga silny wiatr. Codziennie szosą jechały wozy z ludźmi cudem uratowanymi z rzezi, z resztką ocalałego dobytku. Komuś całą rodzinę spalono żywcem w płonącej chacie, innemu zabito rodziców, jeszcze ktoś ocalał, ale uciekł w samej bieliźnie, tracąc dorobek całego życia. Padały nazwy nieznanych mi dotąd a już nie istniejących wsi polskich: Derażno, Dobra, Dermanka... Pozostałe po nich pogorzeliska znaczyły szlak marszu oddziałów banderowskich, z dnia na dzień przybliżających się do nas niebezpiecznie.

W Niedzielę Wielkanocną 1943 roku trzech chłopców z Armatniowa wybrało się do opuszczonego przez polskie rodziny Johanowa po pozostawione tam bez opieki króliki. Mijał dzień za dniem, a chłopcy nie wracali. Nadzieja, że w ostatniej chwili zmienili plany i balują gdzieś w sąsiedniej wsi, rozwiała się ostatecznie, kiedy junacy z Baudieństu znaleźli w lesie niebieską opaskę Adasia, jako pracownika kolei. Było już pewne, że byli w Johanowie, a jeśli do tej pory nie wrócili to znaczy, że nie żyją. Teraz na wpół oszalałym z rozpaczyny rodzinom chodziło tylko o odnalezienie ciał i godne ich pochowanie. Z pomocą przyszedł p. Zieike, szef Baudieństu, Niemiec z poznańskiego, bardzo Polakom życzliwy i uczynny. Pod wzmocnioną ochroną pracujący przy zwózce drzewa junacy pojechali do Johanowa. W pałacu hr. Jezierskiego znaleźli zakrwawione

dokumenty dziewięciu Polaków - w tym także poszukiwanych mężczyzn z Armatniowa. Dokumenty były w dziewięciu różnych pokojach, co oznaczało, że każdy z zamordowanych był torturowany oddzielnie przez osobną grupę. Poszukiwania trwały, czas mijał, a ciał nie było. W końcu jeden z junaków zauważył, że w nieczynnej przedtem smolarni tli się ogień. Zaintrygowany dźgnął bagnetem dymiące wysypisko węgla drzewnego i tak ich znaleźli -wszystkich dziewięciu.

Ciała przywieziono furmanką zaprzęzoną w dwa konie. Od lasu szedł, trzymając się luśni wozu, kompletnie osiwiały w tych dniach pan Mrozicki, ojciec Adasia. Widząc nas obie z mamą wybiegające ze szkoły powiedział: *Nie ma już Adasia pani kierowniczo.* Zaniósł się płaczem, a my płakałyśmy razem z nim. Pan Mrozicki miał trzy córki, Adaś był jego jedynym synem, lubiliśmy go wszyscy, miał tylko 17 lat, był zdrowy i zginął tak bestialsko zamęczony.

Wieczorem w domu Edka, gdzie w stodole leżeli obaj, okrutnie przed śmiercią okaleczeni chłopcy, zebrali się wszyscy Polacy, aby zgodnie z obyczajem odmówić różaniec w intencji zmarłych. Modliłam się za dusze Adasia i Edka, prosząc Boga, aby im wybaczył, że w Wielką Niedzielę, zamiast na rezurekcję do kościoła, poszli do Johanowa ratować głodne króliki. I myślałam o nich każdego wieczora, kiedy odmawiałam specjalną wojenną modlitwę, której nauczyła mnie ciocia Hania. Nigdy przedtem ani potem nie modliłam się z taką żarliwością i zrozumieniem wypowiedzianych słów. Śmierć chłopców przekonała także rodziców, iż dalsze przebywanie w Armatniowie jest lekkomyślnym kuszeniem losu, i że trzeba jak najprędzej uciekać, choć nie bardzo wiadomo dokąd. Możliwości były właściwie tylko dwie: przepełniony do granic możliwości Łuck i sławna placówka polskiej samoobrony w Przebrażu, położonym wśród lasów k/Kiwer.

Wielogodzinne spory o to, gdzie zamieszkać po wyjeździe z Armatniowa rozstrzygnął w końcu przypadek. W Łucku pojawiła się możliwość uzyskania mieszkania po jakiejś znajomej wyjeżdżającej do Generalnej Guberni.

Załatwianie formalności trwało i trwało, a my ciągle tkwiliśmy na wsi, choć było coraz bardziej niebezpiecznie.

Pod koniec pobytu w Armatniowie dowiedzieliśmy się o tragedii w pobliskiej wsi Kopcze. Była to czeska wieś, która żyła sobie spokojnie, bo Ukraińcy, nie wiem czemu, Czechów tolerowali. Mieszkało tam zaprzyjaźnione z rodzicami nauczycielskie małżeństwo, Ela i Karol

Tarabowie z trójką małych dzieci. Pani Ela była Polką, ale jako żona Czecha czuła się w Kopczach bezpiecznie. Jak się okazało - niesłusznie. Wypatrzyli ją i tam. Ileż trzeba mieć w sobie zawziętości i nieprzytomnej nienawiści, aby przyjść do wsi po jedną, bezbronną kobietę tylko dlatego, że jest Polką, próbować zabrać ją z domu z trójką dzieci, oferując łaskawie mężowi wolność i życie. Ponieważ pan Karol z oferty nie skorzystał, zabito go jako pierwszego. Dzieci zamęczono na oczach pani Eli, którą w końcu zgwałcono i zabito. Znajomy Czech, który moją mamę o tym bestialskim wydarzeniu poinformował, znał nazwiska oprawców. Obiecał, że po wojnie je ujawni, ale nie wiem, czy to zrobił.

Czekając na przeprowadzkę do Łucka ukrywaliśmy się co noc w schowku, jaki wymyślił ojciec zaraz po tym, jak kategorycznie odmówiłam nocowania w ukraińskiej chacie w Zwierowie. Szkoła miała dwa strychy, obydwie z wejściem były wszystkim bardzo dobrze znane. Nad mansardą był jeszcze jeden, nieużywany stryszek, do którego tata wyciął w suficie dobrze zamaskowany właz - jak do czołgu. Tam przenieśliśmy pościel i spaliśmy co noc. Ciocia Hania stanowczo odmówiła jakiegokolwiek ukrywania się. Wierzyła w Przeznaczenie i Bożą Opatrzność. Zresztą po ukraińsku mówiła biegle, była czarnooka i śniada, więc postanowiła udawać Ukrainkę, która tylko u nas pracuje. Nikt jej przedtem nie znał, więc ta mistyfikacja mogła się udać. To, że zwracaliśmy się do niej „ciociu”, nie musiało świadczyć o pokrewieństwie. Był to zwrot na wsi ukraińskiej dość powszechny i świadczył tylko o sympatii i bliskości.

Więc koczowaliśmy na naszym stryszku tylko we troje, czułam się tam znacznie bezpieczniej niż w Zwierowie, ale i tak się bałam. Ciągłe nadśłuchiwałam szczekania psów, skrzypienia wozów na drodze. Ciągłe wydawało mi się, że już po nas idą. Uspokoiliam się dopiero, kiedy tata pokazał mi rewolwer i powiedział: „Nie bój się. Będziemy się bronić”.

Byłam już matką dwuletniego synka, jak kiedyś przy wigilijnym stole zaczęliśmy wspominać Wołyń. Przypomniałam tacie, jaka czułam się przy nim bezpieczna od czasu, kiedy zobaczyłam, że jest uzbrojony. Wtedy tata powiedział: *Jak to dobrze, że nie wiedziałaś, że w rewolwerze miałem tylko trzy kule: dla ciebie, matki i siebie, gdyby nas na tym strychu wykryto.*

Pod koniec pobytu w Armatniowie rodzice wszystkich polskich dzieci urządzili dla nas spanie w jednym z budynków stacji, oddając pośrednio pod opiekę pilnujących torów Węgrów. W nowej kryjówce było wesoło jak na pikniku. Długo po wyjeździe stamtąd brakowało mi tych naszych wieczornych pogaduszek.

Sprawa mieszkania wreszcie finalizowała się pomyślnie. W czerwcu, w wigilię Bożego Ciała, wybraliśmy się w trójkę do Łucka, aby załatwić ostatnie formalności przed przeprowadzką. Jechaliśmy z konwojem Baudienstu, złożonym z dwóch krytych brezentem ciężarówek wiozących deski. W pierwszej jechał dowódca Baudienstu, nieoceniony pan Zielke, o którym już wcześniej wspominałam. Drugą ciężarówkę, tę w której pod budą jechaliśmy my, prowadził młody junak, z pochodzenia Ukrainiec. Wyruszyliśmy koło południa. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że ciężarówka skręciła w polną drogę, prowadzącą do jednej z najbardziej nacjonalistycznych wsi, jej nazwy nie pamiętam - Marianówka? Antonówka? Nie wiem. Wpadliśmy w popłoch, nie wiedzieliśmy co się dzieje, gdzie i po co jedziemy? Ojciec był pewny, że to pułapka i ukraiński kierowca wiezie nas do swoich. Tata od pewnego czasu obawiał się uprowadzenia. Jechał właśnie do Łucka, by zameldować przełożonym, że otrzymał zaproszenie do rozmów z dowództwem UPA z naszego okręgu. Wykręcił się od tych negocjacji pod pretekstem braku zgody własnego kierownictwa. Teraz był przekonany, że wiozą nas na te rozmowy, i że żywi z tego nie wyjdziemy. Po przejechaniu około 2 kilometrów auto wreszcie zatrzymało się. Wysiedliśmy na dużym, czystym podwórku jakiegoś dostatniego gospodarstwa. Stały tam już dwa zaprzężone w konie wozy, na które zapłakane kobiety ładowały wynoszone z chaty toboły. Okazało się, że wstąpiliśmy do wsi po rodziców naszego kierowcy. Było to małżeństwo mieszane, jakich w naszych stronach nie brakowało. Ojciec - Ukrainiec otrzymał od banderowców rozkaz pozbycia się swej niesłusznej żony - Polki, bo inaczej zginie razem z nią i dziećmi. Widocznie na żonie bardziej mu zależało, niż na „Samostijnej Ukrainie”, bo postanowił uciec ze wsi, prosząc syna o ochronę. My właśnie przyjechaliśmy po to, aby wywieźć ich bezpiecznie z tej zakazanej wsi. No, ale strachu najedliśmy się przy tym niemało.

Czekaliśmy niecierpliwie, aż gospodarze załadują wozy, bacznie roglądając się wkoło. Sceneria była niesamowita. Gdzieś w pobliżu słychać było karabiny maszynowe. Niemcy pacyfikowali sąsiednią ukraińską wieś. Nadciągała burza z ulewnym deszczem i piorunami. Jakby tego było mało na podwórku rozpętało się dantejskie piekło. Junacy na prośbę gospodarza seriami wybijali domowe ptactwo. Indyki, perliczki, gęsi, kaczki, kury padały pokotem. Przeraźliwy jazgot dziesiątkowanego ptactwa, huk piorunów, grzechot karabinów maszynowych w połączeniu ze strzelaniną na podwórku, ogłuszyły mnie kompletnie. Półprzytomna ze strachu, skulona siedziałam na wysokim progu chaty marząc o tym, aby jak

najszybciej znaleźć się już w Łucku. I w dodatku wcale nie byłam pewna, czy kiedykolwiek tam dotrzemy, czy pozwolą nam z tej wsi wyjechać.

Wreszcie załadunek się skończył i byliśmy gotowi do drogi. Dygocąc ze strachu wpakowałam się pod budę ciężarówki, wcisnęłam między rodziców. Ruszyliśmy drogą gospodarczą dojazdową do głównej ulicy wsi. Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść zza zakrętu jak posypały się na nas strzały. Błyskawicznie przez szparę między plandeką a skrzynią ciężarówki zsunęłam się pod osłoną koła na ziemię i sturlałam do przydrożnego rowu. Odpełzałam za zakręt i obejrzałam się. Rodziców w pobliżu nie było. Zostali przy wozach. Zobaczyłam przebiegających przez drogę cywilów z automatami w ręku.

Banderowcy! Postanowiłam uciekać dalej, do szosy. Zielke mówił, że stamtąd przyjdzie pomoc. Zaczęłam biec, ale zobaczyłam ludzi przy płotach mijanych chałup. Zrozumiałam, że jeśli chcę przez taką wieś przejść żywa, muszę iść spokojnie, tak jakby to co się dzieje mnie nie obchodziło. Nie miałam jeszcze dwunastu lat, ale dziecko wojny szybko uczyło się przebiegłości niezbędnej do przeżycia.

Byłam już przy ostatnich chałupach, kiedy zaczepiła mnie stojąca przy płocie w wyszywanej (a jakże!) bluzce młoda kobieta, przyglądając mi się jednocześnie podejrzliwie. *A zwitki ty detyno idesz? Czyja ty?* Powiedziałam, że przyjechałam z Łucka, szukam cioci, ale pomyliłam wsie i wracam do domu. Rzeczywiście tych Antonówek było w okolicy kilka więc moje tłumaczenie wyglądało prawdopodobnie. *A chto tam strilaje? Naszi czy Nimci?* nie ustawała w przepytywaniu mnie nieznajoma. *Ne znaju - powiedziała - ja ne baczyła, to tam daleko.* I zaraz dla uspienia jej czujności zapytałam, czy mogę napić się wody, bo straszny żar. Uspokojona wyniosła mi wody w mosiężnej, zrobionej z łuski pocisku kwarcie. *Chyba nie kupiła jej u taty w warsztacie, nie może mnie rozpoznać* - pomyślałam. Do dziś pamiętam metaliczny smak tego kubka i słyszę jak moje nieszczęsne zęby z przerażeniem wystukują na jego krawędzi jakąś dziką melodię. Niedaleko szosy dogoniły mnie ciężarówki z rodzicami. Dostało mi się porządnie za samowolę i oddalenie na własną rękę od konwoju, po czym bez przeszkód dojechaliśmy do Łucka.

A na wiejskiej drodze podczas ataku banderowców było tak:

Tata i Zielke leżeli pod samochodem. Zielke strzelał z automatu, u pasa miał „parabelkę”, a pozbawiony broni tata przyglądał się bezradnie atakowi. *Panie Zielke - powiedział - niech mi pan da parabelkę, jestem wojskowy, umiem strzelać.*

- *Leżeć!* warknął grzeczny zazwyczaj Zielke - i wycelował automat w stronę taty. Już po wszystkich byłem świadkiem ich rozmowy.

- *Panie Zielke* - powiedział tata - *czy pan zwariował? Czemu mierzył pan do mnie z automatu. Chciałem pomóc, przecież obaj byliśmy w jednakowym niebezpieczeństwie.*

- *Panie Mieczysławie* - powiedział Zielke - *pan jesteś Polak, ja Niemiec. Jest wojna. Skąd mam wiedzieć do cholery, w którą stronę będziesz pan strzelał?*

I to była święta prawda, bo polskie karabiny na Wołyniu rzeczywiście strzelały w wielu kierunkach.

Pierwsze zetknięcie z uzbrojonymi banderowcami przyspieszyło naszą przeprowadzkę tym bardziej, że wreszcie uzyskaliśmy własny kąt - pokój z dużą, ale ślepą kuchnią. Było to mieszkanie zbyt małe dla naszej czteroosobowej rodziny, mieściło się jednak w centrum, a nie na dość niebezpiecznych przedmieściach miasta, za rogatkami, gdzie zatrzymywała się większość uciekinierów z polskich wsi.

Przewiezienie rzeczy z Armatniowa nie było wcale łatwe. Rodzice jeździli tam aż dwukrotnie. Planowali jeszcze ostatni, trzeci wypad, bo zostało tam wiele cennego dobytku, a zwłaszcza księgozbiór ojca. Tymczasem od swoich przełożonych tata otrzymał ostrzeżenie, żeby nie pokazywał się w okolicach Armatniowa, bo go zdekonspirowano. Miało to związek z przyniesionym przez dwóch obcych Ukraińców zaproszeniem do rozmów z UPA. Jednocześnie do mamy przyszedł, ryzykując zapewne życiem, gospodarz ze Zwierowa, żeby ją ostrzec. Był to ten sam zaufany ukraiński chłop, który przez kilka nocy ukrywał mnie w swojej chacie.

- Pani, uciekajcie - powiedział. My was już dłużej nie damy rady ochraniać. Swoi wam nic nie zrobią. Wyście ich czytać i pisać uczyli, ale przyjdą obcy...

W dwa dni później dostaliśmy wiadomość, że przyszli po nas nocą, a że nikogo nie zastali, to spalili szkołę. Spłonął nasz, rzekomo bezpieczny stryszek, na którym tyle nocy ukrywaliśmy się. Urwały się nasze kontakty z Armatniowem, bo każda próba wyjazdu poza Łuck była czystym szaleństwem. W tym czasie banderowcy panoszyli się w terenie już jawnie i mordowali ludzi w biały dzień. Straciło życie wiele osób, przeważnie kobiety, które wyprawały się do okolicznych wsi po żywność. Nie było dnia, aby Styrem nie płynęły trupy pomordowanych, czasem z bochenkiem chleba na piersiach.

Powoli urządziliśmy się w nowym, małym mieszkanku, upychając po kątach wszystko to, co udało się wywieźć z Armatniowa. Było ciasno, ale

mnie to nie przeszkadzało. Nareszcie odetchnęłam, pozbyłam się mdlącego strachu, jaki nękał mnie od kilku miesięcy. Co to za rozkosz spać znowu we własnym łóżku; w dodatku spać spokojnym, głębokim snem, a nie jak zając pod miedzą nasłuchujący szczekania psów, w każdej chwili gotowy do ucieczki. Rozkoszowałam się spokojem, a nie wiedziałam, że to tylko chwilowa ulga, bo zepchnięta na dno pamięci groza tamtych wołyńskich nocy powracać będzie do mnie kosmatym, dławiącym lękiem przez długie, długie lata. Przypomni mi ją czasem łuna słońca zachodzącego krwistą czerwienią, kiedy indziej odległe szczekanie psów we wsi albo chybottliwe cienie gałęzi drzew w sadzie oświetlone blaskiem księżyca.

Zbliżały się kolejne, wojenne Święta Bożego Narodzenia 1943 roku. Wigilijny stół był skromniutki. Nie było ryby, pierogi bez sera, z samych kartofli i tylko barszcz z uszkami z armatniowskich prawdziwków smakował jak dawniej. W nocy zbudziła nas strzelanina. Strzelano gdzieś koło rogatek miasta. Byłyśmy przekonane, że to Niemcy wiwatują na cześć świąt; w tamtej stronie były też ich koszary. Uspokojeni wróciliśmy do łóżek, a rano poraziła nas straszna wiadomość. Banderowcy napadli na przedmieścia Łucka, gdzie schroniła się większość uchodźców z polskich wsi. W okrutny sposób zamordowali kilkadziesiąt osób, w tym naszą znajomą Wiknę z niemowlęciem. Byłyśmy tam na różańcu, ale tego co widziałam nie chcę i nie mogę nawet po tylu latach opisywać. W niektórych domach zostawili kartki z zapowiedzią równie krwawego Nowego Roku.

I znów wrócił tamten, armatniowski strach. Zamarznięty Styr, a za nim o rzut beretem banderowska wieś. Za ścianą sąsiad - ukraiński nauczyciel, chodzący na co dzień w wyszywanej koszuli. Dzieliły nas tylko drzwi od przedpokoju, które tata na wszelki wypadek przed Nowym Rokiem zabarykadował szafą. Całą noc czuwaliśmy w napięciu. I znów o północy wybuchła strzelanina, ale tym razem był to salut noworoczny Niemców. Może gdyby wiedzieli, że nadchodzący 1944 rok będzie ostatnim rokiem ich panowania na Wołyniu, nie witaliby go tak uroczyście.

Pod koniec stycznia nad ranem usłyszeliśmy huk wystrzałów artyleryjskich. Nie była to kanonada, wyglądało na to, że strzela tylko jedno działo. Rankiem szosa do Torczyna była już kompletnie zatłoczona. Jechały ciężarówki, auta osobowe, furmanki z tobołkami, szli pieszo uchodźcy z plecakami. Wszyscy na zachód. Wiedzieliśmy już co to oznacza. Niemcy i ich służalcy, różni folksdojczy, policjanci a także banderowcy nareszcie wynoszą się z Łucka. Od strony Kiwerc atakowały Łuck wojska radzieckie. Zbliżał się wieczór. Niemców już prawie nie było, a my zadawaliśmy sobie dręczące pytanie: kto wejdzie pierwszy do opuszczonego przez nich Łucka -

Rosjanie czy Ukraińcy? Tej nocy nikt z nas nie zmrużył oka. Siedzieliśmy na wszelki wypadek spakowani, bo ludzie mówili, że Niemcy będą przymusowo wysiedlać ludność cywilną. Światło było zapalone, bo chcieliśmy wiedzieć czy i kiedy wysadzą zaminowaną elektrownię. Gdzieś koło pierwszej w nocy usłyszeliśmy głąchą, niezbyt dużą eksplozję. Światło zgasło na parę sekund, po czym zapaliło się znowu, tyle że było znacznie słabsze. Potem kolejne eksplozje znaczyły, że wysadzono mosty na Styrze, czyli że ostatni Niemcy wyszli z Łucka. Czekaliśmy w wielkiej trwodze. Co z nami będzie? Jak to wszystko się skończy? Na ulicach panowała martwa cisza, zupełnie jakby miasto wstrzymało oddech. Nad ranem usłyszeliśmy łomot kolbami w drzwi. Znieruchomieliśmy, nikt się nie odezwał. Pierwsza oprzytomniała ciocia Hania, wyszła do przedpokoju i zapytała *kto tam?* I usłyszałam najpiękniejsze w moim życiu rosyjskie słowa: *Chazijka otkroj! Giermańcy jest?* Do mieszkania wszedł patrol. Dwóch zarośniętych mężczyzn. Na głowach mieli papachy z czerwonym pasem, takie jakie nosili partyzanci. Zdobyli Łuck prawie bez wystrzału, ale mieli zbyt mało sił, aby ruszyć w pościg za uciekającymi Niemcami, którzy po kilku dniach znów podeszli pod Łuck. Zatrzymali się na Styrze. Dalej iść nie mogli, bo na szczęście, uciekając sami wysadzili wszystkie mosty. Rozpoczęły się dzień i noc trwające walki. Grzechotały karabiny maszynowe i automaty, strzelała artyleria, dochodziło do starć wręcz na zamrzniętej rzece. Rosjanie bronili się zaciekle, jednak przewaga przeciwnika była tak duża, że nadzieja na skuteczną obronę topniała z godziny na godzinę. Uratować nas mogło tylko nadejście regularnej armii wyposażonej w broń pancerną i artylerię, ale jakoś ciągle odsieczy widać nie było. Aż wreszcie, któregoś późnego wieczoru wyszłam z tatą przed dom. Usłyszeliśmy znajomy hałas: jechały wozy pancerne, ciężarówki. Z daleka doleciała do nas tak soczysta, wielopiętrowa „wiązanka” rosyjskich przekleństw, że aż uszy wiodły. Byliśmy uratowani i wydawało się, że powrót Niemców już nam nie grozi.

Powoli życie wracało do normy. Uruchomiono piekarnie, ruszył browar, czynne były niektóre sklepy. I wciąż przybywało wojska. Miasto dosłownie pękało w szwach od ludzi i sprzętu wojennego. Niedługo jednak cieszyliśmy się spokojem.

Rozpoczęły się ponowne ataki niemieckie na Łuck. Trzymałam się blisko domu, naprzeciw którego był potężny schron. W wysokiej górze osłaniającej ulicę Dolną znajdowały się pozostałości starodawnych fortyfikacji miejskich, coś w rodzaju wrytego tunelu o grubych, ponad

półmetrowych murach. Nasz sąsiad masarz urządził tam sobie piwnicę, w której przechowywał mięso i gotowe wyroby wędliniarskie. Wejście obudował barakiem, w którym była kuchnia i wędzarnia. Teraz wszystko to służyło jako schronienie dla niemal całej ulicy. W przerwach między nalotami siedzieliśmy w ciepłym pomieszczeniu, jedliśmy posiłki odgrzewane przez nasze mamy. Na zewnątrz stał zawsze jakiś obserwator, którego zadaniem było dać znać, że lecą samoloty tak, abyśmy mogli w porę schować się do schronu.

W parę dni po wkroczeniu wojsk radzieckich tata zgłosił się do I Armii Wojska Polskiego i wyjechał do Sum, gdzie formowała się jego jednostka.

Nareszcie znów był w mundurze. Bolał bardzo nad tym, że w kampanii wrześniowej otrzymał tylko przydział do Terenowej Obrony Przeciwlotniczej. Był zawodowym artylerzystą, a pójść na front już nie zdążył, bo walka z Niemcami we wrześniu była krótka.

W tym samym czasie, kiedy jeszcze trwały naloty otworzono szkoły i zaczęła się nauka. Nowością dla nas były szkoły „narodowościowe”: polskie, ukraińskie i rosyjskie. Wszystkie w oparciu o takie same programy radzieckiej „dziesięcioletki” - różnił je tylko język wykładowy.

Chodziłam oczywiście do szkoły polskiej na łuckiej Starówce, w sąsiedztwie Katedry, więzienia i zamku Lubarta. Wykładano po polsku, ale uczyłam się w sumie pięciu języków jednocześnie. Rosyjskiego - jako języka urzędowego ZSRR, ukraińskiego - jako języka Republiki Ukraińskiej, polskiego - bo był moim ojczystym językiem, no i francuskiego - bo każdy wykształcony obywatel powinien znać przynajmniej jeden język zachodni. Prywatnie uczyłam się jeszcze łaciny, bo już wiadomo było, że wyjedziemy do Polski, gdzie jest ona obowiązująca w każdym gimnazjum. Szczerze mówiąc, nie wiem jak to wszystko wytrzymałam, ale pamiętam, że wtedy nie odczuwałam najmniejszych trudności. Do szkoły powróciłam z zachwytem, bo już bardzo byłam spragniona normalnych, dziecięcych obowiązków. Miałam ich zresztą co niemiara, bo dodatkowo jeszcze chodziłam do szkoły muzycznej i szkółki baletowej. Przy takim nawale zajęć nie mogłam już, tak jak dawniej - pomagać mamie na bazarze. Mama wróciła bowiem znowu do handlu, bo po wyjeździe taty zostałyśmy we trzy, praktycznie bez środków do życia. Bazar przynosił dochody wystarczające, ale stał się niebezpieczny, bo radzieckie władze ścigały tak zwanych „spekulantów”, zwłaszcza takich, co nigdzie nie pracują. A mama do zawodu wracać nie chciała. Miała dość szkoły, przygód i pouczeń jak powinna zachowywać się „radziecka nauczycielka”. W dodatku pensje w oświacie były bardzo niskie, ja rosłam a wraz ze mną rosły koszty

utrzymania. W końcu znalazło się wyjście z tej trudnej sytuacji i mama podjęła fikcyjną pracę „dwornika”, czyli zamiatacza ulic. Fikcyjna to ta praca była tylko dla mamy, bo ulica musiała być zamieciona - robiłyśmy to obie z ciocią, podczas gdy ona zaopatrzona w dowód „człowieka pracy” i w dodatku „czarnoroboczego” handlowała na bazarze.

Kiedy tata dowiedział się, że jego żona, polska nauczycielka została radziecką zamiataczką ulicomalże nie oszalał. Napisał sążnisty list, w którym zbyt wiele było słów o honorze żony oficera, a zbyt mało rad, jak przetrwać zły czas wojny z dzieckiem i starą ciotką na karku. Tata nie wiedział przecież, że żołd jaki nam przysyłano za jego walkę na froncie czyli 240 rubli miesięcznie wystarczał zaledwie na 24 bułki drożdżowe czyli na 12 moich śniadań, jakie dostawałam idąc do szkoły. W naszej rodzinie zawsze tak było. Przez całą wojnę tata bronił honoru, a mama walczyła o przetrwanie. Była dzielną kobietą, która dla ratowania bytu rodziny nie bała się najcięższej, choćby nawet poniżającej pracy.

Zmorą każdego przyfrontowego miasta były kwatery dla wojska. Od lutego 1944 roku do letniej lipcowej ofensywy stale ktoś u nas mieszkał. Musieliśmy zwalniać pokój i gnieść się w czwórkę w kuchni. Różni byli ci nasi wojenni lokatorzy. Jedni przespali noc i szli dalej, inni zatrzymywali się na kilka dni, jeszcze inni mieszkali u nas dłużej. Byli tacy, co zachowywali wyniosły dystans i tacy, co wyraźnie chcieli odetchnąć od wojny grzejąc się ciepłem cudzego domu. Łączyło ich jedno: zachowywali się grzecznie i nigdy nie wyrządzili nam żadnych przykrości.

Podczas oblężenia Łucka mieszkał u nas przez kilka dni pułkownik kawalerii. Był to typowy kontakt „zdrastwuj - doświdania”. Przyjeżdżał na pięknym, karym koniu, elegancko ubrany, w zarzuconej na ramiona burce i w obszytej karakułowym szarym futrem „kubance” na głowie. Przystojny, wyniosły wyglądał bardziej na białogwardzistę niż na czerwonoarmiejca, tym bardziej, że miał ordynansa, który codziennie czyścił mu lśniące, zupełnie „przedwojenne” oficerki. Ani z nim, ani z nami prawie nie rozmawiał. Był u nas chyba tydzień, a nie wiem czy wykrztusił z siebie z dziesięć słów. Nawet nie wiedziałam, jak się nazywa.

W tym samym czasie u sąsiadki mieszkającej w dużym, wygodnym domu stanął na kwaterze generał ze sztabu I Ukraińskiego Frontu. Chodziłyśmy tam z mamą co wieczór po mleko. Pewnego razu do kuchni wszedł adiutant niosący miskę bielusińskiego, długoziarnistego ryżu. Wpatrywałam się jak urzeczona. Od początku wojny nie widziałam czegoś równie wspaniałego i już prawie zapomniałam, jak smakuja zrobione przez moją babcię z ryżu i mięsa gołąbki -mój największy przysmak. Myślałam, że

adiutant zauważył i właściwie odczytał mój poządlivy wyraz oczu utkwiony w misce, bo następnego wieczoru zapytał mamę, czy nie zechciałaby wymienić ryżu na kaszę. *General patrzeć już na ryż nie może - powiedział - marzy o zwykłym pęczaku, omaszczonym słoninką. Och jak dobrze, że są ludzie, którzy mają takie marzenia* - pomyślałam. Uszczęśliwiona tak nieoczekiwaną propozycją mama natychmiast przyniosła generałowi upragnionej kaszy, a z ryżu zaraz zrobiła wspaniałe gołąbki. Boże! Co to była za uczta! Zajadając się nimi nawet nie pomyślałam, że oto zostałam w taktowny i delikatny sposób obdarowana czymś, czego pragnęłam najbardziej. Bo przecież trudno uwierzyć, że generał nie mógł dostać kaszy w wojsku. Czego jak czego, ale kaszy w żadnym wojsku nigdy nie brakowało.

W połowie maja 1944 roku kiedy wracałam ze szkoły, zobaczyłam idącego naprzeciw żołnierza w polskim mundurze. Przyspieszyłam kroku, żeby go sobie lepiej obejrzeć. Nie widziałam rogatywek od manewrów na Kresach w 1938 roku. Gdy podeszłam bliżej, stanęłam jak wryta! To był tata! Przyjechał na dwa dni z Kiwerc, gdzie stacjonowała jego dywizja i choć wiadomo było, że teraz już niedługo wyruszy na front, radość ze spotkania była ogromna.

Dziś coraz częściej słyszę, że wojsko gen. Berlinga było niesłuszne. Nic mnie to nie obchodzi, bo dobrze pamiętam wzruszenie i dumę na widok ojca w polskim mundurze. Nie był to mundur piękny, jak jego przedwojenny, galowy, ale miał rogatywkę z orzelkiem. I choć orzeł był bez korony mnie to nie raziło, bo takie właśnie orły widziałam na rycinach starych, rycerskich sztandarów w wojskowych książkach ojca. Tylko buty były szkaradne, jakieś szerokie, pomarszczone, za nic nie dawały wyczyścić się na wysoki połysk. Gdzie im było do eleganckich, obcisłych „oficerek” taty. Wyciągnęłam je natychmiast z szafy, ale cóż! W wojsku obowiązywał regulamin i tata nie mógł włożyć swoich przedwojennych butów.

Nie miał też konia, ślicznej kasztanki z białą skarpetką - „Tamizy”. Przyjechał „gazikiem” z kierowcą. Powiedział: *Sierzancie, do wieczora przechodzicie pod komendę mojej córki. Niech jedzie gdzie chce. Ale była, uciecha!* Załadowałam do auta wszystkich, których lubiłam. Nareszcie mogłam zemścić się na dwóch złośliwych gnomach, którzy spłoszyli mi kiedyś konia, tak że poniósł, a ja spadłam. Jeździliśmy po całym Łucku jak szaleni. Pewna, że wszyscy na mnie patrzą, pękałam z dumy. Nareszcie znów byłam oficerską córką. Tata przyjechał do nas jeszcze dwa razy na krótkoterminowe przepustki. Odwiedził nas po raz ostatni, aby pożegnać się zanim wyruszy na front. Spotkaliśmy się ponownie dopiero w 1947 roku.

W czerwcu albo w lipcu, mniej więcej w rok po spaleniu szkoły, mama zdecydowała się pojechać do Armatniowa. Zrobiło się już względnie spokojnie, bo od kilku miesięcy specjalne tak zwane istribitielne bataliony walczyły z banderowcami. Chodziło nie tyle o ukaranie ich za mordowanie Polaków, co o bezpieczeństwo na tyłach frontu. Banderowcy nienawidzili Armii Czerwonej, komunistów bardziej jeszcze niż nas, więc tu i tam frontowi żołnierze ginęli z ich rąk. Pod koniec lutego 1944 roku na armatniowskiej szosie, niedaleko Kotowa wpadł w banderowską zasadzkę i został śmiertelnie ranny dowódca I Ukraińskiego Frontu gen. Watutin. Po jego śmierci akcja tępienia banderowców przybrała na sile. Zapełniali więzienie w Łucku, skąd większość z nich wywożono do łagrów lub sądzono na miejscu, wykonując wyroki śmierci. Jedną z takich egzekucji odbyła się w centrum miasta. Powieszono dwóch przywódców najbardziej krwawych oddziałów. Przyszły tłumy ludzi. Od czasu napadu na Barbarówkę nie było w Łucku takiego zgromadzenia. Poszła tam też i mama, ale mnie zamknęła w domu uważając, że takie wrażliwe dziecko jak ja nie powinno uczestniczyć w, bądź co bądź, makabrycznym widowisku. Tylko, że ja nie byłam już wrażliwym dzieckiem. Nie zabito nikogo z najbliższej mojej rodziny na wojnie i wszyscy szczęśliwie ją przeżyli. Zaginęła tylko gdzieś mała, współczująca ludzkiej niedoli dziewczynka, która z narażeniem życia próbowała ratować radzieckich jeńców od głodowej śmierci, i którą w nocy dręczyły koszmary po śmierci dwojga żydowskich staruszków, zamęczonych na śniegu pod lasem. Może zaginęła na armatniowskiej szosie, a może na pogrzebie ofiar krwawej nocy wigilijnej w 1943 roku. Nie wiem, ale od dawna jej we mnie nie było. Ciemną nocą, bo siódma rano czasu moskiewskiego na Wołyniu to była ciemna noc -szłam do szkoły, nakładając drogi tylko po to, aby popatrzeć na dwóch, powieszonych morderców, żółtych w blasku reflektorów, podświetlających szubienice. Wisieli tam ku przestrodze trzy dni, a ja przez wszystkie te dni szłam do szkoły okreśną drogą. I z satysfakcją oglądałam prowadzone z więzienia kolumny banderowców wywożonych do łagrów. Nie było we mnie żalu i współczucia, tylko mściwa radość, że oto skończyło się wreszcie ich panowanie, że dosięgła ich kara za męczeńską śmierć Adasia, Edka, Tarabów i tysięcy innych, nieznanym mi z imienia i nazwiska.

Odwet, z jakim spotkali się banderowcy ze strony władz radzieckich, był z pewnością okrutny, ale jak mówi przysłowie „na rozpaczliwe choroby, rozpaczliwych trzeba lekarstw”. Dzięki tej akcji już po paru miesiącach

ludzie wyjeżdżali poza Łuck na wieś i wracali szczęśliwie. Mama postanowiła zaryzykować i odwiedzić dawne strony, zobaczyć szkołę.

Okazało się, że sąsiedzi uratowali większość naszych rzeczy. Natychmiast wszystko chcieli mamie zwrócić, ale jej zależało tylko na pamiątkach rodzinnych. Było tam moje duże, portretowe zdjęcie, oprawione w piękne, złoczone ramy, ale tego właśnie sąsiedzi oddać nie chcieli. Mama, myśląc że chodzi o ramy, zgodziła się aby zatrzymali je sobie - zależało jej tylko na mojej fotografii. *Pani* - powiedział ojciec Oli, mojej ukraińskiej koleżanki - *weźcie sobie te ramki, po co one nam. Zostawcie zdjęcie córki. Basia bawiła się z naszymi dziećmi. Niech mają po niej jakąś pamiątkę.* I tak właśnie to było splecione, zrosnięte - nienawiść i przyjaźń. Komuś, kto tego nie przeżył osobiście trudno w tym wszystkim się połapać.

Czas mijał na pisaniu i oczekiwaniu listów z frontu aż wreszcie nadszedł długo wyczekiwany dzień. Do klasy weszła, przerywając lekcję „pionierwożata” czyli drużynowa pionierów i powiedziała *Rebiata, siewodnia okończyłaś Wielikaja Otcziestwiennaja Wojna.* Był 9 maja 1945 roku.

Salut kremlowski był niczym w porównaniu z szaleństwem, jakie ogarnęło naszą szkołę. Wróciłam do domu zachrypnięta, spłakana i pijana radością. Wiedziałam, że tata już jest bezpieczny i niedługo go zobaczę. Choć wojna się skończyła, jej ponure skutki długo jeszcze ciążyły na moim dzieciństwie. Musiałam porzucić strony, w których urodziłam się i wychowałam. W ostatni dzień nauki w szkole rozstawałam się z przyjaciółmi nie na dwa miesiące wakacji, lecz na całe życie. Rozsypaliśmy się po świecie niczym koraliki zerwanego naszyjnika. Nigdy więcej nie spotkałam nikogo z nich. Nie wiem, gdzie jest Wala, z którą zakładałam tak niefortunnie teatr kukielkowy. Nie znam adresu Łuski, z którą sprzątałam kinazę - karaïmską świątynię, i z którą zgodnie przepłakałam cały dzień po wyjeździe Edka. Nie wiem, dokąd zawieźli Edka, chłopca, z którym poszłam na pierwsze w życiu wagiary.

Od czerwca 1945 roku ciągle ktoś wyjeżdżał. Żegnaliśmy się na rampie kolejowej płacząc, a grupka odprowadzających topniała z dnia na dzień, aż wreszcie i na nas przyszedł czas. Sprzedaliśmy za bezcen to, czego wywieźć nie można było, zapakowałyśmy worki, walizy, żywność, drobne sprzęty i załadowałyśmy się do „bydlęcego” wagonu, w którym oprócz naszej trójki, jechała pani Helena z matką i czteroosobowa rodzina mojej szkolnej koleżanki Wandzi. Był to ostatni transport, jaki wyjechał z Łucka do Polski.

Leżałam na wysoko, prawie pod sufitem spiętrzonych tobołach, tuż przy małym okienku i patrzyłam na przesuające się krajobrazy mego dzieciństwa. Nie było mi żal. No bo czego miałam żałować? Zostawały za mną pogorzeliska polskich i ukraińskich wsi, zdziczałe wiśniowe sady, groby i bagienne cmentarze bez mogił. Na nielicznych przystankach ukraińskie dzieci wygrażały nam z nienawiścią pięściami, wykrzykując *Mazury za San! Na piaski!* Nie byliśmy im dłużni - odkrzykiwaliśmy *Mużyki, hadiuki na Sybir! Na białe niedźwiedzie!*. Śpiewaliśmy złośliwą wersję ich hymnu *Szcze ne wmerła Ukraina!*, z której pamiętam dwie ostatnie linijki *Czoho Lachy ne wybyły chaliera wyduszyt!*.

W złą godzinę były wypowiedziane te słowa. Ludzie z naszych stron mówili, że nie ma już Armatniowa. Ukraińców, naszych sąsiadów, wywieźli na Sybir czy do Kazachstanu. Pojechali gdzieś ze swojej Ukrainy Ola, Stiopa, Hryćko i wielu innych towarzyszy moich dziecięcych zabaw, niezmaczonych nienawiścią narodowych waśni. Chaty zburzono, zasadzono las i wybudowano sanatoria. Nie wiem, czy to prawda? Nie wiem i sprawdzić nie będę.

Od opisanych tutaj wydarzeń minęło ponad pół wieku. Wiele się zmieniło. Nie ma już w moim sercu tej dziecięcej nienawiści, z jaką opuszczałam Wołyń. Dziś o wiele bardziej rozumiem racje drugiej strony, choć nadal potępiam barbarzyńskie i okrutne metody walki. Wypaliło się, oddaliło, już nie boli tak jak przed laty.

I kiedy siedzę w swojej chacie na skraju lasu po tylu, tylu latach patrząc na łuny zachodzącego słońca, na snujące się od rzeki mgły, czasem zdaje mi się, że widzę sinobure tumany na błoniach od Styru, tak dobrze widoczne z naszej ulicy Dolnej. I przypomina mi się piosenka, jakiej uczono mnie w ukraińskiej szkole pod niemieckim panowaniem:

*Oj Wołyniu
mij ridnyj
Tebe ne
zabudu Do
samoj smerti
Pamjataty
budu.*